

John Flanagan, Płonący most - fragment

Halt i Will podążali tropem wargalów już od trzech dni. Niedawno widziano jak cztery zwaliste, gruboskórne stwory, oddane zbuntowanemu wielmoży, Morgarathowi, przemierzały tereny lenna Redmont, kierując się na północ. Gdy wieść o tym dotarła do zwiadowcy, natychmiast ruszył za nimi wraz ze swym młodym czeladnikiem, aby przeciąć im drogę.

– Skąd oni się tu wzięli? – spytał Will podczas jednego z krótkich postojów. – Przecież teraz Wąwóz Trzech Kroków jest chyba naprawdę dobrze strzeżony?

Było to jedyne dostępne przejście łączące królestwo Araluen i płaskowyż, na którym wznosiły się Góry Deszczu i Nocy, gdzie mieściła się siedziba Morgaratha. Królestwo przygotowywało się do nadchodzącej wojny z Morgarathem, toteż niezbyt liczny stały garnizon pilnujący wąskiego przesmyku został wzmocniony kompanią piechoty i łuczników.

– Owszem, w większej liczbie mógłby przejść tylko tamtędy – przyznał Halt – ale tak mały patrol zapewne zdołał przekraść się na teren królestwa, drogą przez urwiska.

Górzysty płaskowyż, który stał się miejscem wygnania Morgaratha, wznosił się wysoko nad południowymi krańcami królestwa. Od Wąwozu Trzech Kroków na wschodzie aż ku zachodowi ciągnęły się przepastne urwiska, tworząc naturalną granicę między płaskowyżem i Araluem. Dalej linia ich skręcała na południowy zachód, przechodząc w kolejną nieprzebytą przeszkodę zwaną Rozpadliną – była to ogromna szczelina biegnąca aż do morza i dzieląca krainę Morgaratha od królestwa Celtów.

Przez ostatnich szesnaście lat właśnie te naturalne fortyfikacje chroniły Araluen i sąsiednią Celtię przed najazdami Morgaratha. Jeśli jednak spojrzeć na to z drugiej strony, zapewniały buntownikowi ochronę przed siłami Araluenu.

– Sądziłem, że te urwiska są przeszkodą nie do przebycia? – zdziwił się Will.

Halt pozwolił sobie na ponury uśmiech.

– Nie ma przeszkód, których nie dałoby się pokonać. Zwłaszcza jeśli ktoś mało dba o to, jakie straty poniosą wykonawcy jego rozkazów. Przypuszczam, że spuścili się na linach lub zeszli po drabinach sznurowych któreś bezkسیężycowej nocy, przy złej pogodzie. Tym sposobem zdołali ominąć nasze stráže graniczne.

Wstał, dając tym samym do zrozumienia, że postój dobiegł końca. Will uniósł się również, ramię w ramię podeszli do koni. Wskakując na siodło, Halt stęknął cicho. Rana, jaką odniósł podczas starcia z kalkarami, wciąż jeszcze dokuczwała mu nieco.

– Mniej mnie obchodzi, jak się tu dostali – ciągnął. – Idzie o to, dokąd zmierzają i jakie mają zamiary.

Ledwo wymówił te słowa, gdy usłyszeli przed sobą głośny okrzyk, potem jakieś dziwne pomruki, a następnie szcęk broni.

– A tego być może zaraz się dowiemy! – dokończył Halt.

Puścił się galopem, kierując konikiem za pomocą kolan, gdy tymczasem jego ręce napięły potężny długi łuk. Will galopował tuż za nim, ale umiejętnościami jeździeckimi nie dorównywał Haltowi – prawą ręką trzymał wodze, w lewej dzierżył swój własny łuk.

Jechali przez rzadki las, pozostawiając troskę o wybór drogi swoim wierzchowcom. Nagle wypadli na szeroką polanę. Wstrzymany przez swego pana Abelard stanął jak wryty, Wyrwij tuż obok niego. Will wypuścił z dłoni wodze i błyskawicznie sięgnął do kołczanu po strzałę.

Pośrodku otwartej przestrzeni rósł spory figowiec. U jego stóp znajdowało się małe obozowisko. Z ogniska wznosiła się jeszcze smużka dymu, obok leżał tobołek i koc. Czterech wargalów, których śladami podążali, otoczyło samotnego mężczyznę, opierającego się plecami o pień drzewa. Póki co jego długi miecz trzymał napastników na dystans, lecz wargalowie nie dawali za wygraną, czekając na najmniejszy błąd i wypatrując luki w szermierczych zasłonach ofiary. Uzbrojeni byli w krótkie miecze i topory, a jeden z nich miał ciężką żelazną włócznię.

Na widok stworów Willowi zaparło dech w piersiach. Pościg trwał długo, a teraz nagle i niespodziewanie ujrzał ich na własne oczy. Byli potężnie zbudowani, mieli długie ryje i wielkie żółte kły, które szczyrzyli teraz, czając się na swą ofiarę. Porośnięci byli kudłatym futrem, a prócz tego nosili zbroje z czarnej skóry. Mężczyzna odziany był podobnie. Odpierał ich ataki, ale gdy krzyknął, w jego głosie słychać było strach:

– Cofnąć się! Spełniam misję na polecenie lorda Morgaratha. Cofnąć się, to rozkaz! Rozkazuję wam w imieniu lorda Morgaratha!

Halt na grzbiecie Abelarda podjechał kilka kroków w ich stronę, by móc lepiej celować.

– Rzucić broń! Wszyscy! – zakrzyknął. Pięć par oczu skierowało się ku niemu, cztery wargalowie i ich ofiara byli najwyraźniej zaskoczeni. Napastnik uzbrojony we włócznię pierwszy odzyskał przytomność umysłu. Zorientował się, że widok jeźdźca osłabił czujność mężczyzny uzbrojonego w miecz, zrobił wypad i wbił włócznię w jego ciało. W następnej sekundzie strzała Halta przeszła jego serce i napastnik padł martwy obok swej ofiary. Mężczyzna opadał jeszcze na kolana, gdy pozostali wargalowie ruszyli w stronę zwiadowców. Pomimo niedźwiedziowej postury poruszali się niewiarygodnie szybko.

Druga strzała Halta powaliła wargala szarżującego z lewej strony. Will strzelił do stwora biegnącego z prawej i natychmiast zdał sobie sprawę, że nie docenił prędkości, z jaką poruszała się bestia. Strzała ze świstem przeleciała tam, gdzie wargal znajdował się o ułamek sekundy wcześniej. Chłopak błyskawicznie dobył następnej strzały i dosłyszał ochryply jęk bólu, gdy trzecia strzała Halta utkwiała w piersi środkowego napastnika. Will wypuścił drugą strzałę, celując do ostatniego z wargali, który był już zatrważająco blisko.

Przeżony widokiem dzikich oczu i złotych kłów, zbyt pospiesznie zwolnił cięciwę. Jego strzała nie miała żadnej szansy, by trafić wargala, który niemal już go dopadał.

Napastnik wydał z siebie triumfalny charkot, ale wówczas niespodziewanie Wyrwij ruszył na pomoc swemu panu. Konik zarżał i stanął dęba, młócąc przednimi kopytami. Zamiast cofnąć się przed straszliwym stworem, wybiegł do przodu na jego spotkanie. Zaskoczony Will chwycił się łęku siodła.

Wargal był równie zdezorientowany. Podobnie jak wszyscy jego pobratymcy, żywił zabobonny lęk przed końmi – lęk, który narodził się podczas bitwy na Wrzosowiskach Hackham Heath przed szesnastoma laty, kiedy to pierwsza armia wargalów Morgaratha została zdziesiątkowana przez araluenską kawalerię. Na swoją zgubę wargal zawahał się i postąpił krok do tyłu, by uniknąć kopyt tłukących powietrze.

Czwarta strzała Halta trafiła go w szyję. Odległość była tak niewielka, że przebiła ją na wylot. Wargal wydał śmiertelny wrzask i runął martwy na trawę. Błady jak ściana Will zsunął się z końskiego grzbietu, kolana się pod nim ugięły. Musiał przytrzymać się boku Wyrwija, by nie upaść. Halt szybko zeskoczył z siodła i stanął obok chłopca, obejmując go ramieniem.

– Już dobrze, Willu – Głęboki głos zwiadowcy przebił się przez strach, który ogarnął umysł chłopca. – Już po wszystkim.

Ale Will był w stanie tylko potrząsnąć głową, wciąż przerażony sceną, która dopiero co się rozegrała.

– Halt... chybiłem... i to dwa razy! Straciłem głowę i chybiłem! – Było mu wstyd, że tak haniebnie zawiódł swego nauczyciela. Poczul, że ramię Halta obejmuje go mocniej, uniósł twarz, by spojrzeć w brodate oblicze mistrza i jego ciemne, głęboko osadzone oczy.

– Inną jest rzeczą strzelać do tarczy, a inną do szarżującego wargala. Tarcza zazwyczaj nie próbuje cię zabić. – To ostatnie zdanie Halt wypowiedział znacznie łagodniejszym tonem. Zdał sobie sprawę, że Will przeszedł wstrząs. I nic dziwnego – przyznał w duchu.

– Ale ja... chybiłem...

– I to będzie dla ciebie nauką. Następnym razem nie chybisz. Wiesz już teraz, że lepiej oddać jeden dobry strzał niż dwa w pośpiechu – stwierdził stanowczo Halt, po czym ujął Willa za ramię i odwrócił go w stronę obozowiska pod figowcem. – Chodź, zobaczymy, czego uda nam się dowiedzieć o tym człowieku – rzekł, kładąc w ten sposób kres rozmowie o niepowodzeniu Willa.

Odziany na czarno mężczyzna i wargal leżeli martwi obok siebie. Halt przyklęknął, by odwrócić człowieka twarzą do góry. Gwizdnął cicho ze zdumienia.

– To Dirk Reacher – stwierdził, na poły do siebie. – Ostatnia osoba, którą spodziewałbym się tu ujrzeć.

– Znałeś go? – spytał Will. Nieokielznana ciekawość sprawiła, że zgodnie z przewidywaniami Halta, groza dopiero co minionych chwil zaczęła się oddalać.

– Osobiście wygnałem go z królestwa pięć czy sześć lat temu – wyjaśnił zwiadowca. – Był tchórzem i mordercą. Zdezertował, a potem przystał do Morgaratha – umilkł na chwilę. – Morgarath ma szczególną zdolność przyciągania ku sobie takich właśnie ludzi. Tylko czego on tu szuka...?

– Wołał, że pełni jakąś misję dla Morgaratha – przypomniał Will, ale Halt pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Wargalowie ścigali go, a tylko sam Morgarath mógłby im to nakazać, tego zaś by nie uczynił, gdyby Reacher nadal był na jego usługach. Przypuszczam, że znów zdradził. Porzucił Morgaratha, który wysłał wargalów w ślad za nim.

– Dlaczego? – zdziwił się Will. – To znaczy, dlaczego miałby znów zdezerterować?

Halt wzruszył ramionami.

– Nadchodzi wojna. Ludzie tacy jak Dirk raczej starają się unikać podobnych nieprzyjemności.

Sięgnął po tobołek leżący obok ogniska i zaczął w nim grzebać.

– Szukasz czegoś szczególnego? – zainteresował się Will. Halt zmarszczył brwi; wyraźnie znudziło mu się przeszukiwanie pakunku i po prostu wysypał całą jego zawartość na ziemię.

– No cóż, coś mi mówi, że jeśli Dirk zdradził Morgaratha i zamierzał wrócić do Araluenu, wystarczyłoby o jakiś fant, którym okupiłby swoją wolność. Tak więc... – urwał w pół zdania, bo dostrzegł starannie złożony pergamin leżący pośród ubrań na zmianę i przyborów do jedzenia. Przejrzał pospiesznie dokument i uniósł lekko jedną brew. Will, który spędził u boku zwiadowcy już niemal rok, wiedział, że oznaczało to coś na kształt zdumionego okrzyku, jaki wydałby z siebie ktokolwiek inny na miejscu jego mistrza. Wiedział też, że jeśli będzie próbował przerwać Haltowi, nim ten skończy czytać, zwiadowca po prostu go zignoruje. Odczekał więc, aż Halt złożył pergamin, wstał powoli, spojrzał na swego ucznia i dostrzegł naglące pytanie w jego oczach.

– Coś ważnego? – upewnił się Will.

– Można powiedzieć, że tak – stwierdził chłodno Halt. – Chyba wpadły nam w ręce plany Morgaratha dotyczące zbliżającej się wojny. Pewnie dobrze byłoby je zawieźć do Redmont.

Gwizdnął cicho, a Abelard i Wyrwij podbiegły truchtem do swych panów.

Tymczasem w odległości kilkuset metrów czaił się intruz, który wybrał swą kryjówkę niezwykle starannie, mając na uwadze nawet kierunek wiatru, by koniki zwiadowców nie wyczuły jego obecności. Wróg upewnił się, że Halt i jego uczeń, którzy dosiedli wierzchowców, opuścili łąkę, scenę niewielkiej bitwy, która tu się rozegrała – a potem wyszedł z ukrycia i zwrócił się na południe, ku przepastnym urwiskom.

Czas powiadomić Morgaratha, że jego plan się powiódł.